Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

EXPRESS WIECZORNY ILUSTROWANY.

ROK III. | ŁÓDŹ, SOBOTA 18 KWIETNIA 1925 r. | NUMER POJEDYŃCZY 20 GROSZY. | Nr. 90

Potworne zabójstwo w Warszawie.

Właściciel ogrodu wraz z dwoma parobkami zatłukł na śmierć ciężarną kobietę. Tragedja matki, która stanęła w obronie swego dziecka.

Z Warszawy donoszą nam:

Na granicy Warszawy, tuż przy forcie Legjonów, znajduje się posesja ogrodnicza Władysława Koryńskiego. Życie tam wrzało przez cały dzień wczorajszy.

Plecy robotników i robotnic schylały się nad grzędami, a właściciel, człowiek gwałtowny i choleryczny, klął i piorunował bez przerwy.

Najmniejsze uchybienie wprawiało go we wściekłość, a wtedy chętnie pozwalał sobie na rękoczyny.

Zdarzyło się nad wieczorem, że synek jednej z robotnic, p. Marji Bogumiłowej, rzucił grudką ziemi w konia, wiozącego beczkę z wodą. Woźnica uderzył malca, w obronie którego stanęła matka.

Do sprawy wmieszał się Koryński.... Oczy nabiegły mu krwią, rzucił się na kobietę, powalił na ziemię i zaczął okładać kijem.

To mu nie wystarczyło. Wezwał do pomocy dwu parobczaków z pałkami.

Bito ją bez litości po plecach, po piersiach, po głowie.

Dzikiej scenie przyglądali się inni i nikt nie odważył się zaprotestować.

Bogumiłowa usiłowa zerwać się z ziemi, lecz pchnięta obcasem, padała, a kije młóciły dalej wytrwale, bez odpoczynku.

Jęki katowanej kobiety wreszcie u cichły. Wryła się twarzą w świeżo skopaną ziemię i leżała bez ruchu.

— Stać — skomenderował oprawca — pewnie ją zamroczyło.

Jeden z parobków przyniósł wiadro wody, i wylał na okrwawioną głowę kobiety.

Nic nie pomogło. Bogumiłowa nie dawała znaku życia.

Ktoś zaalarmował telefonicznie 16 komisarjat, oraz pogotowie ratunkowe.

Lekarz stwierdził zgruchotanie prawej łopatki, złamanie żebra i zdarcie skóry wraz z włosami ze skroni. Przewieziono ją do szpitala Dzieciątka Jezus.

Dodać należy, że p.MarjaBogumiłowa była w stanie odmiennym.

Oprawca i jego dwu pomocników aresztowano.



..Objaśnienie, niech sobie czytelnik dośpiewa w duchu..

150 zabitych — 400 rannych.

Wstrząsające szczegóły zamachu w Sofji.

Polska Agencja Telegraficzna.

Sofja, 18 kwietnia.

Rozmiary katastrofy w katedrze są znacznie większe niż sądzono początkowo. Prócz 150 zabitych, jest jeszcze 400 rannych. W gruzach podziemi katedry czynione są poszukiwania. Ogłoszono stan wojenny oraz mobilizację rezerw. Rada ministrów w komplecie obraduje w obecności króla. Prowadzone są rokowania z przedstawicielami mocarstw w sprawie akcji wojska.

W całym kraju, według ostatnich wiadomości, panuje spokój. Z powodu świąt wyszło niewiele dzienników, które piętnują z największem oburzeniem zamach w katedrze.

Zamordowanie zabójcy Milewa.

Sofja, 17 kwietnia.

Dziś rano znaleziono ciało zabójcy depułowanego Milewa na tem samem miejscu, gdzie był zamordowany Milew. Przy trupie znaleziono kartkę, stwierdzającą, iż egzekucja została dokonaną przez organizację macedońską.

Morderca Milewa był znanym anarchistą i uczestniczył już w zamachu na kasyno w Sofji w lutym 1914 roku.

GIEŁDA.

Warszawa, dn. 18 kwietnia.

PIERWSZA PRZEDGIEŁDA WARSZAWSKA.

Nowy York 5,165
Paryż 26,26
Londyn 24,80

DRUGA PRZEDGIEŁDA WARSZAWSKA

Dolary 5,19

Zamach samobójczy nieznanego mężczyzny.

Znaleziono go na ulicy Przejazd przy rogu Wysokiej.

Nocy ubiegłej o godz. 12 i pół nieliczni przechodnie, dążący ulicą Przejazd zauważyli przy rogu ul. Wysokiej, leżące go na chodniku jakiegoś mężczyznę, który jęczał przeraźliwie.

Domyślając się, że zaszedł tu jakiś nieszczęśliwy wypadek, jeden z przechodniów zawiadomił o tem telefonicznie pogotowie.

Wkrótce przybyła karetka i lekarz skonstatował otrucie kwasem octowym.

Przy samobójcy nie znaleziono żadnych dowodów osobistych, wobec czego nie można ustalić jego tożsamości.

Lekarz odwiózł desperata w stanie bardzo ciężkim do szpitala św. Józefa.

Japonja z Rosją przeciwko Polsce

O czem mówi „tajna klauzula"?

Nowy York, 17 kwietnia.

„New York World" donosi z Tokio: Niedawno zawarty traktat rosyjsko-japoński zawiera dodatkową tajną klauzulę.

W klauzuli tej Japonja zobowiązuje się dopomódz (?) Rosji w odzyskaniu wschodniej Małopolski, Białorusi i Wołynia od Polski, a Bessarabji od Rumunji.

—:o:—

Polska wycieczka szkolna w Rumunji.

Biorą w niej udział uczniowie z Łodzi. Dyrektor Davison był przyjęty przez rumuńskiego ministra oświaty; uczeń Skrutkowski przemawiał po francusku.

Bukareszt, 17 kwietnia

Specjalna służba telegraficzna „Expressu".

Bawi tutaj od dni kilku wycieczka uczniów i uczenic gimnazjów z Warszawy, Torunia, Poznania, Katowic, Łodzi i Lwowa w liczbie przeszło 80 osób, z czego 20 kilku profesorów i profesorek, reszta uczniów.

P. dr. Anghelescu, minister oświecenia publicznego, przyjmując delegację wycieczki, złożoną z pani dyrektorowej Michałowskiej, prof. Michałowskiego i pp. dyrektorów Gałeckiego i Dawisona z Łodzi odpowiadając na przemówienie tego ostatniego, podkreślił wielkie znaczenie polityczne, jakiego naród rumuński spodziewa się, po zbliżeniu młodzieży i wychowawców.

Punktem kulminacyjnym całego przyjęcia był „festival" szkolny, urządzony w wielkiej sali tutejszego „Ateneum", wypełnionej po brzegi młodzieżą szkół średnich, rodzicami uczniów i uczennic i liczną publicznością.

Uczeń gimnazjum im. Kopernika w Łodzi, Edward Skrutkowski, w francuskim, pięknem przemówieniu wymownie podkreślił doniosłość przyjaźni polsko-rumuńskiej, a uczennica panna Jadiga Sukiennicka zachwyciła publiczność pięknem odegraniem na fortepianie poloneza i mazurka Chopina.

Wycieczka polska zwiedziła przedewszystkiem szereg tutejszych uczelni (licea, fakultet medyczny, szkołę kadetów i w. in.) i szereg instytucji kulturalnych (Ateneum, muzea).

—o—

Wagony kolejowe dla palących kobiet

zostały zaprowadzone w Ameryce

Specjalna służba telegraficzna „Expressu".

Nowy York, 17 kwietnia.

Zarząd kolei żelaznych „Railroad", idąc z postępem czasu i licząc się ze zwiększoną frekwencją pań, które palą papierosy postanowił wprowadzić specjalne wagony kolejowe dla palących pań. T.N.

Barmat stanie dziś

przed parlamentarną komisją śledczą.

Specjalna służba telegraficzna „Expressu".

Berlin, 17 kwietnia.

Jutro wznowi swe prace parlamentarna komisja śledcza dla zbadania afery Barmatów.

Zbadany ma być Barmat. Badanie to odbędzie się w sądzie w obecności prokuratora i sędziego śledczego. H.Z.

Królowa, która „chodzi w spodniach".

Losami Rumunji kieruje „matka Bałkanów" królowa Marja.

Od kilku tygodni dochodzą do nas wiadomości o ciężkiej chorobie króla rumuńskiego Ferdynanda.

Biuletyny wydawane przez lekarzy o stanie zdrowia chorego brzmią coprawda optymistycznie, ale mimo to jest pewnem, że gdyby nawet wyzdrowiał nie będzie on mógł przez dłuższy czas sprawować władzy.

Kto wówczas obejmie władzę w Rumunji?

Dla nas pytanie to jest szczególnie ważne, albowiem posiadamy wiele spól nych interesów państwowych z Rumunją i od kilku lat jesteśmy związani z nią sojuszem.

Ze względu na to, że głównym inicja torem sojuszu polsko - rumuńskiego był obecny król rumuński Ferdynand, winniśmy baczniej, niż ktokolwiek inny obserwować rozwój wypadków w Rumunji.

Wedle przepisów, konstytucji rumuń skiej w razie niemożności sprawowania władzy przez króla **utworzona zostaje regencja.**

Regencja składa się z trzech członków wybieranych przez parlament.

Gdyby obecnie w Rumunji utworzona została regencja, to w skład jej wejdą zapewnie **królowa Marja, następca tronu Karol oraz prezydent ministrów Bratianu.**

Królowa Marja odgrywa bardzo wielką rolę w życiu politycznym Rumunji.

Jest tajemnicą poliszynela, że tylko dzięki jej energicznej akcji politycy rumuńscy zgodzili się na przystąpienie Rumunji do ententy.

Królowa Marja posiada pozatem bar dzo wielki wpływ na swego małżonka i właściwie śmiało rzec można, że ona kieruje sama losami Rumunji.

Następca tronu oraz premjer Bratianu, nie bez zazdrości spoglądają od dłuż szego czasu na sukcesy polityczne królowej Marji i wejdą zapewne w skład regencja dlatego, **aby osłabić nieograniczone wpływy królowej na bieg spraw państwowych,** a być może, ażeby przeciwdziałać pewnym planom kró lowej co do nowego układu sił politycznych na Bałkanach.

O ile rzeczywiście pozostali dwaj członkowie regencji: następca tronu Karol oraz prezydent ministrów Bratianu będą się starali o zmniejszenie wpływów królowej, to sprawie nie tak łatwo uda im się przeprowadzić swe zamiary.

Trzeba bowiem pamiętać, że królowa rumuńska doskonale zna zamiary swych przeciwników i zdecydowana jest na wszekie ewentualności, jakie przyniesie taka walka.

Królowa Marja zwalczała zawsze energicznie wpływy austrjackie i niemieckie w Rumunji.

Ambasadorowie Anglji i Francji w Bukareszcie byli jej stałymi doradcami i często też w jej cichym salonie decydowały się losy Rumunji.

Gdy w 1914 roku zmarł król rumuński Karol, królowa Marja niezwłocznie wzięła najważniejsze nici polityki rumuńskiej w swoje ręce i po mistrzowsku wprost **prowadziła grę dyplomaty cznę z posłem austrjackiem hr. Czernym w przeciągu dwuch lat.**

Przyjmowała go bardzo chętnie w swym salonie, grała z nim codziennie **w tennisa i zapewniała go o swej sympatji dla Austrji.**

Dyplomacja austrjacka była zupełnie pewna, że Rumunja nie stanie do walki z Austrją, a **królowa rumuńska została nawet odznaczona przez cesarza Franciszka Józefa orderem.**

Gra jej trwała, jednak tak długo póki nie zdołała ona zapewnić sobie sympatji ententy dla Rumunji.

Gdy w 1916 roku pertraktacje jej z Poincarem i Lloyd Georgem dobiegły końca wręczyła ona swemu przyjacielowi (?) hr. Czernemu notę o wypowiedzeniu wojny przez Rumunję państwom centralnym.

Małżonek jej był mocno niezadowolony z wypowiedzenia wojny Niemcom, ale jedynie dlatego, że **rząd niemiecki skonfiskował jego kapitały zdeponowane w jednym z banków niemieckich.**

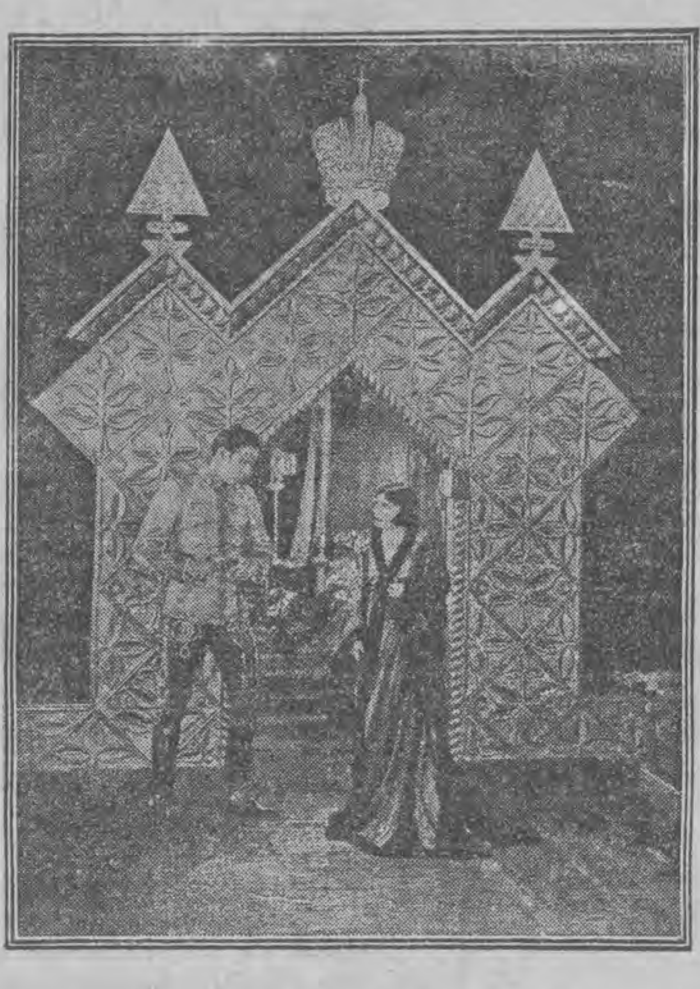
Królowa Marja pocieszała swego małżonka jak mogła i wreszcie zdołała go przekonać, że straty te zostaną tysiąckrotnie wynagrodzone przez ententę.

I rzeczywiście Rumunja za swe przy **stąpienie do ententy została sowicie wynagrodzona, otrzymała bowiem całą Bukowinę, Besarabję, część Banatu.**

Ta nagroda ententy dla Rumunji byłaby znacznie skromniejsza, **gdyby nie energiczna działalność królowej w Londynie i Paryżu podczas rokowań pokojowych w Wersalu.**

Wszyscy wiedzą w Rumunji doskonale, że „królowa chodzi w spodniach" i dla tego nikt też zbytnio się nie przejmuje ewentualnem wyjazdem króla zagranicę.

B. S.





Pola Negri, która jutro przybywa do Warszawy w ostatnim arcydziele Lubicza: „Raj utracony", który to film wkrótce wyświetlany będzie w Łodzi.

Jak pani Walewska o Polskę walczyła

Tam gdzie djabeł nic nie wskóra — kobietę posyła.

Polityka miażdży najpiękniejsze uczucia niewieście.

O wpływie kobiet na bieg polityki nie jednokrotnie już mówiono. Obecnie podaje „Neues Wiener Journal" wiadomość o pięknej polce, żonie dyplomaty polskiego w Paryżu, która umiała pozyskać dla siebie hr. Sforzę, a tem samem zdobyć opinję włoską dla sprawy Górnego Śląska.

Mówiąc o pięknych polkach podaje dziennik wiedeński jednocześnie wyczerpującą historję pani Walewskiej, o której każdy z nas dużo już wie, lecz chyba chętnie raz jeszcze posłucha dziejów tej uroczej i pełnej poświęcenia kobiety, zwłaszcza, że oświetla ją w tym wypadku opinja obca, która czyni z p. Walewskiej cichą i bolesną ofiarę, złożoną na ołtarzu patrjotyzmu.

Marja Walewska, żona hr. Colonny de Valeville-Walewskiego liczyła lat osiemnaście, gdy cesarz francuzów zawitał do Polski. Z pośród wielu kobiet, które Napoleon wciągnął do swego burzliwego życia, jest ona najczystszą i najwdzięczniejszą postacią, jedyną kobietą, którą ten wielki wzgardziciel kobiet, istotnie powa żał.

Urodziła się i wychowana została na męczennicę.

Mała i drobna, o prawie eterycznej postaci, była już przedtem nieznaną i cichą bohaterką. Wszelkie uczucia kobiece wyeliminowała jakby ze swego życia aby oddać się całkowicie pobożności i patrjotyzmowi. Musiała wcześnie wyjść zamąż, gdyż matka jej, wdowa z rodziny szlachec kiej, nie była w stanie wychować dość licznej gromadki dzieci.

Dwóch konkurentów ubiegało się o rękę pięknej Marji: pewien niesłychanie bogaty i wytworny rosjanin, syn znanego w Polsce generała i stary siedemdziesięcioletni hrabia Walewski.

Pierwszego odrzuciła ze względów pa trjotycznych, drugiego przyjęła i w ciągu trzech lat pędziła z nim ciche życie na zamku Walewice, sądząc, że zaoszczędzone jej zostaną gorycze i smutki życiowe.

Los zechciał, że Napoleon zauważył ją w tłumie chłopów i żydów w małem miasteczku i rozkazał adjutantowi, aby sprowadził piękną kobietę. Przedstawiona Napoleonowi oddala się natychmiast, pozostawiając wielkiemu władcy niezatarte wspomnienie swej uroczej postaci. Cesarz przyjeżdża do Warszawy i wśród tłumu pięknych kobiet na balu, na jego cześć wydanego, szuka pięknej nieznajomej.

Marja Walewska jest wówczas w War szawie, nie chce jednakże brać udziału w żadnej z uroczystości, wydawanych na cześć rzekomego zbawcy Polski.

Wkrótce jednakże epizod jej w małem miasteczku obiega koła arystokracji polskiej. Książe Józef Poniatowski rzuca przypuszczenie: „Być może, iż nią posłuży się los, aby zbawić ojczyznę "

Myśl ta opanowuje wszystkich: dygni tarzy, dyplomatów, kobiety. Jedynie hr. Walewski nic nie wie o projektach i zamiarach. Jego żona odmawia wzięcia udziału w balu, wyprawianym przez ks. Józefa, jednakże ulega energicznym namowom męża.

Cesarz nikogo, prócz niej nie dostrzega na balu, rzuca innym damom tu i owdzie jakieś grzeczne słówka, naogół jest jednakże bardzo roztargniony i szepcze do ucha hrabiny gorące wyznania miłosne. Tego samego wieczoru przesyła jej list przez księcia Józefa, który nadaremnie czeka na odpowiedź. Następnego ranka pojawia się drugi bilecik, który zostaje przez hrabinę nieodpieczętowany i wyrzucony.

Lecz obecnie miesza się już do całej sprawy opinja publiczna.

Zjawiają się członkowie rządu tymczasowego i jeden z nich wyraźnie perswaduje hrabinie:

„**Wszelkie względy muszą zniknąć, gdy chodzi o najwyższe i najważniejsze interesy państwa".**

Hrabina Walewska ubiera się więc na bal. Kochanka ks. Józefa, francuska rodem, wtajemnicza ją w szczegóły i tajniki toalety. Zostaje do niej przydzielona pewna dama z wysokiego towarzystwa, p. Abramowiczowa, która ma czuwać nad zamiarami hrabiny. **Zostaje jej wręczony formalny adres od narodu,** który powierza **jej sprawy państwa.**

Uczta u ks. Poniatowskiego.

W westibulach stoi tłum z prośbami do faworytki cesarskiej.

Napoleon jest tak uważny, że zamienia przy świadkach ledwie kilka słów z nową swą ofiarą. Hrabina Walewska wre szcie zgadza się na wizytę w kwaterze ce sarskiej.

Odbywa się tu walka na śmierć i życie, walka gołębicy z orłem, walka na łzy i słowa, walka z rozmową o Polsce, gdzie Napoleon zyskuje przewagę.

Nie była hr. Walewska metresą Napo leona lecz uboczną jego małżonką. Urodziła mu syna, który miał nazwisko pier wszego jej męża, z którym oddawna już wzięła rozwód. **Była Napoleonowi najwierniejszą małżonką. Płakała całą noc pod drzwiami w Fontainebleu, gdy Napoleon opuszczony przez wszystkich przemyśliwał nad abdykacją i samobójstwem.** Składa mu wraz z synem wizytę na Elbie, odwiedza go potem znów w Paryżu.

Sprawa polska jest oddawna już zagrzebana, chodzi jej obecnie o tego, który w tak haniebny sposób oszukał jej najgłęb sze uczucia, a którego z biegiem czasu pokochała. Los i polityka zawiodły srodze panią Walewską. Polska nie powstała, mimo ofiary, jaką pragnęła ta piękna kobieta złożyć z siebie.

Autokrata Napoleon brał politykę bardziej na serjo, niż niejeden z obecnych dyplomatów epoki parlamentaryzmu.

Podczas czytania biblji...



...I kiedy bracia sprzedali Józefa, popełnili wielki błąd!... Kto powie jaki?
...Ja wiem, panie psorze!... Sprzedali go za tanio!...

Merle Blanc, Paryż.

Nieszczęśliwa miłość 18-letniej kelnerki.

Narzeczony opuścił ją w dzień ślubu — nieszczęśliwa usiłowała popełnić zamach samobójczy.

— Albo wyjdę zamąż, albo pojadę do Ameryki — zwierzała się swej przyjaciółce urodziwa Wanda R., młoda, bo zaledwie 18 lat licząca kelnerka.

— Albo odbiorę sobie życie...

Mimo, iż Wanda kilkakrotnie mówiła o tem, że pozbawi się życia, nikt temu jednak wiary nie dawałZa bardzo bowiem ufano jej zdrowemu rozsądkowi, dzięki któremu zaszczytnie się wyróżniała w gronie swych licznych koleżanek.

Ale są chwile w życiu człowieka, kiedy ból serdeczny milczeć każe rozsądkowi. Tego rodzaju chwile przeżywała od pewnego czasu urocza Wandzia.

Pracowała w jednej z mniejszych cukierenek łódzkich, zarabia.a więc dostatnio na swe utrzymanie. Pozatem miała w Ameryce brata, który przysyłał jej co pewien czas znaczniejszą sumę pieniędzy.

Pieniądze te Wanda odkładała na „czarną" godzinę. Z biegiem czasu uzbierała się nawet pokaźna sumka.

Wszystko szło dobrze do chwili, kiedy na jej drodze nie stanął „on"...

Pokochała go serdecznie i zawierzyła ślepo, nawet pieniądze mu oddała na przechowanie. Mieli się pobrać i za zaoszczędzony grosz założyć cukierenkę, również na krańcach miasta.

Termin ślubu był bliski, a Wanda nie mogła już doczekać się tej chwili, w której ksiądz miał ich połączyć dozgonnym węzłem małżeńskim.

Wszystko zdawałoby się zmierza ku szczęściu.

Ku swemu rozczarowaniu Wanda spostrzegła jednak, że narzeczony jej od pewnego czasu w stosunku do niej znacznie zobojętniał.

To ją zastanowiło...

Postanowiła więc zgłębić tajemnicę. Przyparty do muru narzeczony wyznał jej że pieniądze dane mu na przechowanie roztrwonił, a kiedy Wanda zaczeła rozpaczać, przyspieszył datę ślubu. To ją udobruchało. Czas mijai...

Nadszedł wreszcie dzień ślubu. Wanda wystroiła się jak przystało na pannę młodą i czekała na przybycie narzeczonego, z którym udać się miała do kościoła.

Czekała dzień cały, ale niestety bez skutku. Jak się bowiem okazało, narzeczony poprostu „zwiał", unosząc ze sobą równocześnie ciężko zapracowany grosz nieszczęśliwej Wandzi.

Sytuacja stała się tragiczną. Z jednej strony opuszczona dziewczyna pozbawiona została pieniędzy, z drugiej zaś wstydziła się pokazać na oczy znajomym, tem bardziej, że miała zostać wkrótce matką.

Postanowiła więc zrealizować swój zamiar, z którego zwierzyła się przyjaciółce. Tego jeszcze dnia zażyła jodyny.

— — — — — — —

Przerażona przyjaciółka w oczach której Wanda R. targnęła się na swe życie, zmusiła ją do wypicia kilku szklanek kwaśnego mleka. To ją uratowało od śmierci.

Obecnie nieszczęśliwa dziewczyna przychodzi już powoli do zdrowia tak, że istnieje nadzieja, iż po kilku tygodniach będzie mogła powrócić do normalnego trybu życia.

Czy „on", dowiedziawszy się o rozpaczliwym kroku Wandzi powróci? i czy naprawi jej wielką krzywdę — trudno przewidzieć...

w.

Widmo nowego zatargu w Kasie chorych.

Po kilku tygodniach ciszy nad kasą chorych znów kłębią się chmury.

Między lekarzami a zarządem kasy powstał szereg zatargów na tle umowy głównej oraz interpretacji orzeczenia ministra Sokala w sprawie podwyżki dla lekarzy kasowych.

Charakterystyczne jest, iż w ostatnim numerze „Łodzianina" ukazał się artykuł przewodniczącego zarządu kasy p. Kałużyńskiego, w którem poddał on ostrej krytyce orzeczenie ministra Sokala, uważając je za stronne.

Tak więc konflikt między zarządem kasy i lekarzami nie został ostatecznie zlikwidowany i lada dzień wybuchnąć może ponownie, na szkodę oczywista... ubezpieczonych.

— dc. —

Przepowiadał przyszłość, wróżył i „czarował"

cygan z dziada i pradziada czarnooki, czarnobrody Georg Kwiek.

Nie umiał jednak odgadnąć własnej przyszłości, która go czekała w komisarjacie policji.

Dziwni są ci ludzie o ogorzałych twarzach, błyszczących czarnych oczach, w których się czai przebiegłość wiecznego włóczęgi i pokora przepędzanego z miejsca na miejsce przybłędy.

Cyganie!... Któż ich nie zna, któż ich przynajmniej raz w życiu nie widział? Stare niańki opowiadają straszne bajki o brodatych cyganach, porywających dzieci, o cygankach, przyszłość przepowiadających i czary umiejących czynić.

Pisano o tych ludziach książki, tworzono filmy, gdzie piękne cyganki (każda cyganka musi być piękna) odgrywały główne role, a każda „modna" operetka wypycha na scenę przynajmniej dwóch starych cyganów, jedego młodego i trzy cyganki.

Jeżeli się już wspomina o powieściopisarzach, piosenkarzach i librecistach operetkowych, którzy do swoich utworów wprowadzają postacie cygańskie, nie można pominąć milczeniem pewn. kategorji ludzi, piszących również od czasu do czasu krótkie czy dłuższe „notatki" o tych uwędzonych w szałasowym dymie wiecznych włóczęgach.

Są to urzędnicy policyjni.

Przyznać trzeba, że w literaturze cyganie są typami przeważnie „jasnemi", grają bardzo pięknie na skrzypcach, tańczą pasjami klasyczne tańce i noszą bardzo ładne i charakterystyczne stroje.

Inaczej natomiast przedstawia się typ cygana, gdy spojrzymy nań przez pryzmat owych właśnie notatek policyjnych, lub wprost — gdy się z nim spotkamy oko w oko.

Nie budzą w nas nigdy zbytniego zaufania.

Gdy do jakiegoś miasta zawita obóz cyganów, wówczas policja ma istne utrapienie.

Tu skradziono kurczaki z podwórza, tam przez otwarte okno wyciągnięto całą pościel, gdzieindziej „wróżąca" cyganka „świsnęła" u przesądnej kuchareczki chustę wełnianą, owdzie pobili się cyganie na noże, co nie przeszkodziło bynajmniej w tem, by okraść jednocześnie spokojnego przechodnia i t. d.

Tak się przedstawia typ cygana, wzięty nie z powieści ani z operetki, lecz z życia.

Cyganie nie kradną „zasadniczo", lecz trudnią się tym procederem„ pobocznie", czyli od okazji do okazji.

Z „zasady" zajmują się następującymi czynnościami: mężczyźni bielą garnki, kobiety wróżą z kart i z ręki.

Oczywista, że przy tych czynnościach zdarzają się bardzo dobre „okazje" do popełnienia mniejszych lub większych kradzieży.

Do Łodzi zawitała ostatnio większa ilość ciemnoskórych obywateli całego świata, którzy wierni swoim rasowym tradycjom i... przyzwyczajeniom, kultywują je również na terenie naszego miasta.

Wędrował sobie po łódzkich podwórzach i mieszkaniach cygan z dziada i pradziada czarnowłosy, czarnooki Georg Kwiek.

Wędrował przez dzień cały, garnki bielił, kotły naprawiał i naturalnie „wróżył" i „czarował".

Przepowiadał przyszłość naiwnym kuchareczkom, bajał „młodszym" o blondynie, który kocha, o szatynce, która jest zazdrosna, o podróży, która „czeka" i bogactwie, które „przyjdzie".

A „wróżył" tak sprytnie, że zawsze potrafił „wyciągnąć" od ludzi, żądnych przejrzenia mroków przyszłości jaknajwiększą ilość pieniędzy.

— Dajcie, panie, jeszcze złoty, to powiem coś bardzo ważnego...

— Nie dacie panienko jeszcze złotówki, to szczęście może się w nieszczęście obrócić...

Tak „nabierał" naiwnych cygan z dziada i pradziada czarnooki, czarnowłosy Georg Kwiek.

Aliści powinęła mu się wczoraj noga i Georg Kwiek wpadł z kretesem i z posterunkowym do.. 11-go komisarjatu policji państwowej.

Wyłudził bowiem od Michała Surnika zamieszkałego przy ul. Rokicińskiej nr. 6 któremu „wróżył" i przyszłość przepowiadał, większą sumę pieniędzy.

Tej jednak swojej „przyszłości" nie wywróżył sobie cygan z dziada i pradziada — czarnooki, czarnowłosy Georg Kwiek.

— Mah —

Kwiatek św. Biurokracego na magistrackiej niwie.

—:o:—

Raz podatek miejski, raz państwowy.

Magistrat zgarnął po dwa złote a płatnicy stracili.

Zgłaszającym się w swoim czasie do wydziału podatkowego magistratu płatnikom podatku od nieruchomości polecono na rekursy nalepić dwuzłotowe marki stemplowe miejskie.

Obecnie płatników tych zawiadomiono, że na podania te nalepiono niewłaściwe marki stemplowe, gdyż podatek od nieruchomości jest podatkiem państwowym i wobec tego rekursy te winny być obłożone opłatą stemplową na rzecz państwa.

Gdy płatnicy ci zwrócili się o zwrot opłaty, poczynionej na rzecz miasta, odmówiono im, stwierdzając jedocześnie, iż była to omyłka, popełniona przez urzędników.

Jest to sprawa napozór drobna, lecz charakteryzuje ona dosadnie chaos panujący w gospodarce komunalnej.

Ponura, szara, bezdrzewna Łódź...

Żadne miasto na świecie nie jest tak ubogie w parki i ogrody, żadne nie jest tak pokrzywdzone pod względem zadrzewienia ulic, co Łódź...

:o:

Wzywamy magistrat łódzki do zadrzewienia bezdusznych ulic Łodzi

:o:

Dzisiaj, gdy wiosna spłynęła na nas w całej pełni swego blasku, czaru i majestatu, gdy słońce darzy nas sowicie swemi promieniami i cała przyroda uśmiecha się i rwie do nowego życia, oko mieszkańca Łodzi z utęsknieniem szuka choćby najmniejszego krzaczka choćby skrawka zieleni, na którem spocząćby mogło.

Żadne miasto na świecie nie jest tak ubogie w parki i ogrody, żadne nie jest tak pokrzywdzone pod względem zadrzewienia ulic co Łódź, której szarzyzna murów i posępne twarze ludzi jakoś dziwnie harmonizują i składają się na wcale nie wesołą całość.

Nie jesteśmy bynajmniej skłonni przeceniać znaczenia roślinności w środowiskach miejskich i nie twierdzimy, że odgrywa ona decydujący wpływ na charakter ludzi, ale w każdym razie szczegółu tego nie powinniśmy pomijać, a dbały o zdrowie moralne i fizyczne mieszkańców zarząd miasta nie powinien zapominać również i o zadrzewieniu ulic.

Niestety, magistrat łódzki **nie przejawia na tem polu żadnej inicjatywy ani działalności, i nie czyni nawet nic w tym kierunku, aby już istniejący drzewostan zakonserwować i zabezpieczyć przed zniszczeniem.** Pod względem tym nasze władze miejskie wykazują całkowitą niechęć czy też indolencję, a być może nie doceniają znaczenia, jakie posiada wysadzenie ulic drzewami.

Uprzytomnić sobie należy, że na ulicach wogóle, a na ulicach śródmieścia w szczególności, przedewszystkiem tam, gdzie panuje ożywiony ruch kołowy, drzewa uliczne zdobią miasto, odświeżają powietrze i odkurzają je. Latem, gdy skwar wszystkim daje się we znaki, a kamienne ściany domów i betonowe płyty chodnika palą jak dobrze rozgrzany piec, drzewa uliczne osłabiają promieniowanie rozżarzonych murów i dostarczają tak pożądanego przez przechodniów cienia.

Prócz tego hamują one pęd wiatru, zatrzymują tumany kurzu oraz tłumią zgiełk uliczny.

Ale to jeszcze nie wszystko, Mało znanym np. jest fakt, **że drzewa uliczne powiększają w znacznym stopniu bezpieczeństwo osób, idących chodnikiem;** mianowicie tworzą one swego rodzaju częstokół, który w razie wjechania wozu lub automobilu na trotuar chroni przechodniów przed zgnieceniem.

Stwierdzono wielokrotnie na dużej ilości tego rodzaju wypadków, że gdy chodnik jest okolony rzędem silnych drzew, samojazd już to swym przodem, już to jednym ze swych kół naciera na drzewo, przez co zatrzymuje się lub przy najmniej zwalnia swój groźny pęd.

Co się tyczy techniki sadzenia drzew, to oczywiście tę sprawę należy pozostawić fachowcom.

Być może sfery ogrodnicze będą starały się twierdzić, iż nasze ulice są niedostatecznie szerokie dla ustawienia drzew, które według teoretycznych obliczeń dla zdrowego swego rozkwitu wymagają 3 i pół metrowego odstępu pnia od muru domowego i odległości około trzech czwartych metra od krawędzi chodnika, co razem wyznacza szerokość 4 i ćwierć metra dla chodnika. Tymczasem nasze łódzkie trotuary nawet na ulicy Piotrkowskiej posiadają całkowitą szerokość wynoszącą około 3 i pół metra.

Teorja ta pozostaje na szczęście tylko teorją; bo jak wykazuje praktyka na ulicach naszych w niektórych miejscach rosną dość pokaźne drzewa na chodnikach, których szerokość nie przekracza cztrech metrów, a nawet 3 i pół metra. W niektórych miastach Francji zadrzewiają chodniki nawet trzymetrowej szerokości.

W kwestji zadrzewienia ulic mogą się również odezwać głosy, iż drzewo wraz z wgłębieniem odbiera wiele miejsca przechodniom na trotuarze. Jednakże praktyka, stosowana w wielu miastach Europy wykazała, że szkopuł ten można usunąć, jeżeli otwór pod drzewem pokryć kratą z żelaza lanego lub taśmowego. W Anglji i w Niemczech stosują jeszcze inne systemy, jak płyty betonowe z otworami lub drobną kostką.

Śmiertelnym krzywdzicielem drzew, nieraz zupełnie zatruwającym ich korzenie jest gaz świetlny, ulatniający się z rur; istnieją jednak specjalne sposoby, które zapobiegają tej niszczycielskiej robocie i odprowadzają gaz z ominięciem korzeni drzewnych.

Reasumując wszystko co wyżej powiedziano, musimy stwierdzić, iż technika sadzenia drzew na ulicach stoi obecnie na Zachodzie bardzo wysoko i niema wprost przeszkód, któreby uniemożliwiały zadrzewienie szarych i bezdusznych ulic Łodzi.

That.

Jak się wiedeńczycy śmieją.

Anegdoty o ostatnich dwuch cesarzach Austrji.

W Wiedniu wyszedł drukiem zbiór anegdot wiedeńskich z czasów wojny, pod ogólnym tytułem „Der Franzl und andere“.

Jak już tytuł wskazuje, zbiór ten poświęcony jest przeważnie wspomnieniom z ostatnich lat życia cesarza Franciszka Józefa.

Jedna z nich charakteryzuje dosadnie zupełną już niemoc duchową zniedołężniałego monarchy Austro - Węgier, w chwili, gdy rozgrywały się losy świata.

W pierwszych dniach września 1914 roku — opowiadają wiedeńczycy — cesarz Franciszek Józef jechał powozem w towarzystwie swego adjutanta, hr. Paara, przez ulicę Mariahilf.

Wzdłuż ulicy wszystkie domy przybrane były flagami. — Co to znaczy?— pyta cesarz. — Wygraliśmy bitwę! — odpowiada adjutant.

Ogromnie zdziwiony, sędziwy monarcha woła: — Skoro wygraliśmy bitwę, to musi być wojna! — Tak jest, wasza cesarska mość, mamy wojnę!

Franciszek Józef zastanowił się chwilę, poczem rzecze uradowany: — Doskonale, doskonale! Czas już, abyśmy porządnie skroili kurtę prusakom!

Wyobrażał sobie starzec, w którego umyśle tkwiła klęska, poniesiona przez austrjaków pod Sadową w 1866 roku, że toczy się wojna odwetowa z Prusami!

O następcy Franciszka Józefa, cesarzu Karolu, opowiadają, że w pierwszych dniach po wstąpieniu na tron zwykł był jeździć codziennie zrana do ministerjum wojny i interpelować oficerów, którzy spóźniali się do biura.

Pewnego dnia natknął się tam na pułkownika, który przybył wprost z frontu włoskiego.

Dlaczego — pyta cesarz — przybywa pan tak późno do biura?

Pułkownik, poznawszy cesarza, wyprężył się, uderzył obcasem o obcas i przyłożywszy rękę do czapki, odpowiada:

Melduję waszej cesarskiej mości, że do wczorajszego wieczora oczekiwano napróżno na waszą cesarską mość w okopach na froncie!

Od tej chwili Karol nie zajrzał przez cały tydzień do ministerjum wojny.



3 : 1.

Pozwólcie, że na chwilę odciągnę was że tak napiszę, od szarzyzny codziennego życia, pozwólcie, że na jeden momencik odświeżę wasz zaśniedziały mózg i wprowadzę was, że tak napiszę, w krainę złudy, mar, czarów, rusałek i staropolskiej literatury.

Pozwólcie, że przedewszystkiem przypomnę wam postać Jędrzeja Śniadeckiego, brata Jana, prezydenta Towarzystwa Szubrawców, w którego organie „Wiadomościach Brukowych“ umieszczał swoje artykuły.

Pozwólcie, że wyjątek jednego z tych artykułów przytoczę niżej w tej formie w jakiej był napisany w początkach zeszłego stulecia.

— „...Otóż tak rozmyślając i chodząc przypatrując się to bramom, to facjatom to rozmaitym szyneckom i sklepikom, wiem położenie każdego... Przypatruję się także rozmaitym tablicom i tabliczkom, czytam napisy, które mi często na stręczają ważne uwagi... Można w ogólności powiedzieć, iż całe miasto ma swój ogólny charakter, który nawet z napisów poznać można. Dziewięć albowiem przynajmniej dziesiątych części donoszą o rozmaitych trunkach, jakoto: ponczu, piwie, kaliszanie (napój chłodzący z piwa, cukru i cytryny) i wódkach różnego, a różnego gatunku. Jest tu i owdzie miodek, rozweselenie serc dziadów i nad dziadów naszych, są **wina zamorskie i zagraniczne.** Trzecia lub czwarta część napisów wzywa na śniadania, zakąski i obiady; tak dalece, iżby można ustanowić ogólne w tej umiejętności prawo, że daleko więcej pijemy, jak jemy, i że się ma ilość pijących do jedzących, jak 3:1 — co zapewne pochodzi z wielkiej gorącości klimatu“.

Tyle powiada Śniadecki.

Jeżeli jego uwagi są słuszne, w takim razie należy wyrazić przypuszczenie, że co trzeci mieszkaniec Łodzi jest pijakiem.

Sądząc z rozpraw sądowych, Śniadecki miał trochę racji.

Jeżeli bowiem nie co trzecia, to w każdym razie co piąta sprawa opiera się na oskarżeniu, wynikłem z powodu bójki na tle pijaństwa.

Szczególnie w Łodzi wódeczka jest artykułem bardzo pożądanym, szkoda tylko, że na ten artykuł państwo już wzięło monopol, co zresztą nie przeszkadza splajtowanym kupcom łódzkim robić konkurencji państwu.

Kto i jak robi wódkę, o tem pomówimy obszerniej, gdy się nadarzy okazja, narazie mogę tylko donieść kto tę wódkę pije.

A więc: Andrzej Pirzek, Seweryn Małoch, Władysław Biziak i Andrzej Obiecki.

Wszyscy czterej nie tylko pili wódkę ale wywołali niepotrzebnie zbiegowisko i bardziej jeszcze niepotrzebną awanturę

Każdy z nich został skazany na zapłacenie 50 złotych grzywny. **Juris.**



Mała córeczka lorda Winstona hurchilla pod opieką „niańki“— ołnierza gwardji, który stoi na osterunku.

Jak zginął ludożerca Haarmann?

Został ścięty na gilotynie.— Przed straceniem oswiadczył, że wyrok sądu przyjmuje, jako zasłużoną karę.

Donieśliśmy już w rubryce telegraficznej o straceniu głośnego ludożercy niemieckiego Haarmanna na dziedzińcu trybunału w Hanowerze przy pomocy gilotyny. Obecnie nadchodzą bliższe szczegóły tego epizodu.

Już w dniu poprzedzającym ścięcie, Haarmann został powiadomiony o dacie wykonania wyroku. Poprosił wówczas o udzielenie mu pociechy duchowej, cze go mu oczywiście nie odmówiono. Pastor pozostawał w jego celi do późnej no cy. Noc spędził ludożerca dość spokojnie. W dniu stracenia tuż przed godziną 6 rano wyprowadzono go z celi. Znów pojawił się pastor, a oprócz niego naczel ny prokurator dr. Wilde, który kierował wykonaniem wyroku, ponadto dwóch dalszych przedstawicieli sądownictwa, oraz lekarz sądowy, jeden obywatel mia sta Hanoweru i kat Goebler z Wrocławia ze swymi pomocnikami.

Na dziedzińcu więzienia ustawiono gilotynę, przy pomocy której wykonywane są wyroki śmierci w Hanowerze, jak również w południowych Niemczech podczas gdy w całej reszcie Niemiec ścięcie głowy odbywa się przy pomocy topora.

Podczas robienia ostatnich przygotowań Haarmann okazywał spokój i zimną krew. Naczelny prokurator dr. Wilde jeszcze raz przeczytał wyrok śmierci i zwrócił się do mordercy z zapytaniem, czy pragnie jeszcze coś powiedzieć.

Haarmann zastanowił się przez chwi lę poczem rzekł: Mam do powiedzenia tylko, że żałuję za swoje czyny.

Potem oświadczeniu ujęli Haarmanna pomocnicy kata i zaciągnęli go na rusztowanie. Kat nacisnął guzik elektryczny wprowadzający w ruch gilotynę. Głowa Haarmanna zakreślając szeroki łuk, spa dła na ziemię. Obecny lekarz sądowy skonstatował wówczas zgon, a prokura tor stwierdził, że sprawiedliwości stało się zadość.

Po dokonaniu tych formalności urzędowych zwłoki Haarmanna natychmiast odtransportowano i pogrzebano, a miej sce pogrzebania zwłok trzymane jest w tajemnicy. Cała ta egzekucja trwała zaledwie kilka minut. Ludność Hanoweru dopiero przed południem dowiedziała się z komunikatu urzędowego o dokona nem straceniu. Ludność została zaskoczona tą wiadomością, albowiem przypuszczała, że z powodu zeznań, złożonych ostatnio przez Haarmanna w formie listu do ojca Gransa, wdrożone będzie nowe dochodzenie, odraczające chwilę stracenia.

Rodzice ofiar Haarmanna wystąpili przed kilkoma dniami z żądaniem, aby dopuszczono do osoby mordercy ich deputację, spodziewając się, że Haarmann da jakieś wskazówki, co do nieznanych jeszcze losów poszczególnych ofiar. Władze nie zgodziły się na to, to też obecnie opinja publiczna krytykuje ostro władze policyjne i sądowe, że uniemożliwiły prowadzenie dalszych dochodzeń. Policja ze swej strony zapewnia, iż na podstawie zeznań Haarmanna, zba dała gruntownie wszelkie ślady zbrodni.

Dodatkowe zeznania Haarmana były, zdaniem policji, niczem innem jak tyl ko wybrykiem fantazji. Nie rostrzygnięte jeszcze zostały losy skazanego na śmierć Gransa, który wniósł prośbę o ułaskawienie. Ponieważ prośba ta nie została jeszcze załatwiona, przeto Haarmann musiał samotnie odbyć wędrówkę pod gilotynę. Haarmann zrezygnował z wszelkiej rewizji procesu i z wnoszenia podania o ułaskawienie.

Jeszcze na kilka dni przed straceniem oświadczył on, że miał już dość czasu do namysłu i że wyrok sądu przysięgłych przyjmuje jako zasłużoną karę.

—:o:—



Kopenhaga jest stolicą rowerzystów. Fotografja nasza przedstawia jeden z typowych obrazków pięknej stolicy duńskiej.

Biedna, staruszko, Europo!

—:o:—

Najpiękniejsze kobiety świata mieszkają poza Europą.

Tak twierdzą światowi podróżnicy.

Nie dziwmy się temu, jeżeli murzyn uważa, że jego niewieścia współplemienniczka jest najpiękniejszą kobietą.

Eskimos zakochuje się w Eskimosce, pomimo, że według naszych pojęć nie może ona mieć żadnych pretensji do piękności. Być może, że nasz europejski ideał piękności wydaje się im popro stu potworem brzydoty. Interesującą je dnakowoż rzeczą jest stwierdzenie przez licznych podróżników zwiedzających świat faktu, **że berło piękności światowej bynajmniej nie przypada w udziale europejkom.**

Jeden z podróżników stwierdza, że najpiękniejsze kobiety spotyka się w Azji. Już na drodze prowadzącej do Azji **na Kaukazie podziwiać można czarujące wprost pięknością kobiety.**

Słynną jest również piękność kobiet syryjskich i niewiast z krainy nad Tygrysem. Kobiety tamtejsze zachwycają cudzoziemca pięknością pomimo pierście nia noszonego w nosie.

Bardzo piękne kobiety spotyka się wśród **semickich Arabów**. Tubylcze kobiety z „kraju błękitnych wzgórz" w po łudniowym Dekhanie słyną z piękności swych kształtów. Cera ich jest jaśniejszą od cery mężczyzn tamtejszych, ma ton kawy mlecznej. Regularne rysy ma ją nadzwyczaj przyjemny wyraz u kobiet pomiędzy 20 a 50 rokiem życia. Kobiety te są średniego wzrostu, mają ma łe ręce i nogi i długie lśniące, hebanowo-czarne włosy.

Z piękności słyną również **kobiety birmańskie**, uważane są one za najpiękniejsze przedstawicielki rasy mongolskiej i słyną ze swego smaku w ubraniu.

Odnośnie murzynek afrykańskich, to nie cieszą się one opinją piękności. Hotentotki, Buszmenki uważane są nawet za **najbrzydsze kobiety**. Szczęśliwym wyjątkiem wśród czarnego świata niewieściego są semickie kobiety z plemienia Golla, wysokie, smukłe, pięknie zbudowane, o uderzająco wąskich rękach i no gach i naturalnym wdzięku w ruchach. W żyłach murzynów Sunda płynie często zmieszana krew i może dlatego zda rzają się wśród nich nieraz kobiety, któ re się podobają najwybredniejszym euro pejczykom.

Wśród kolorowych kobiet w Ameryce znajdujemy wiele uderzających piękności.

A w Australji? Kobiety z plemion naj niżej kulturalnie stojących australijskich murzynów są **wstrętnie brzydkie.**

Natomiast wśród kobiet Maori na Nowej Zelandji, spotykamy **piękne typy niewieście**, mogące konkurować z euro pejkami, pomimo swego tatuażu. Piękne kobiety spotyka się również w Polinezji na wyspach Samua i na Tachiti. Pewien podróżnik zachwyca się specjalnie kobietami i dziewczętami samuańskiemi. Wynika z tego, że piękne kobiety znaleźć można na całym świecie.

Czy Londyn potrafi kopjować Paryż?

Jeśli chodzi o dancingi — nie!

Biskup Londynu zwrócił się do angielskiego ministra spraw wewnętrznych z żądaniem położenia tamy dancin gom nocnym, rozsiewającym niemoralność i uczącym ludność trwonienia zdro wia i pieniędzy.

Na wieść o tem, jeden z redaktorów dziennika „Daily News", wtajemniczony w życie paryskiego Montmartre'u, zwie dził „Dancingi" londyńskie i wydaje o nich jaknajsmutniejsze świadectwo.

Pisze, że sale nocne w Paryżu kipią wesołością i życiem, gdy w stolicy Anglji naśladowanie tych zakładów zupełnie chybia celu.

Twierdzi, że nad zakładami przezna czonymi dla cudzoziemców unosi się tan deta, przymus i szalona nuda.

Na ich całość składają się dekoracje z kwiatów papierowych, tanie lustra, niewygodne meble, za to niezła orkiestra i dobra posadzka do tańca. Najwięk szą atrakcją jest tam alkohol, którego nocą w innych zakładach londyńskich sprzedawać nie wolno.

Kto zamawia czarną kawę, zamiast niej dostaje pełną filiżankę wódki.

Przyzwoici londyńczycy nocnych dancingów nie odwiedzają, cudzoziemcy zaś wzruszają ramionami i również w ciągu kwadransa dość mają „trupiej zabawy". Dodaje, iż londyńczycy są zbyt sztywni i kanciaści aby byli w możnoś ci kopjować Paryż, gdzie humor i werwa są żywiołem.

JERZY RZĘCKI. 88



Kryminalny romans kinematograficzny.

W Nicei było rzeczywiście sporo magazynów w których sprzedawano lub ro biono na zamówienie doskonałą imitację wszelkiej biżuterji. Udało się Mańce namówić profesorową do zamówienia sobie duplikatów. Tak też uczyniono. Obiecano wykonać zamówienie w jaknajkrótszym terminie.

W czasie, gdy Mańka oczekiwała ,aż kopja nie będzie gotowa, zawezwała do siebie Janka i rzekła mu:

— Wyobraź sobie, mój drogi, że pozwalam ci flirtować z tą młodą angielką, a co mnie w swoim czasie tak bardzo pro siłeś... Jest tylko jeden warunek: nie wol no ci zajść za daleko i co najważniejsze musi ci się poszczęścić...

Janek spojrzał na nią ze zdumieniem, ona zaś z niezamąconym spokojem mówiła dalej:

— Musi ci się poszczęścić, dlatego że tylko wówczas ten twój flirt odniesie zamierzony cel. Chodzi o to, abyś wyłudził od niej, ile się da... Gdy się umiejętnie za bierzesz do rzeczy, to postaram ci się odwdzięczyć. Radzę ci przystąpić bez zwłoki do poleconego ci zadania.... Nie zmuszam cię zresztą do tego, bo jak wiesz, według przyjętego u mnie zwyczaju, „swój" nie bywa używany nigdy do żadnych robót. Ponieważ wszakże wiem, że ta dziewczyna się spodoba, sprobój więc to uczynić, tembardziej, że sam się zaofiarowywałeś. Więc, ostatecznie, zrobisz tę rzecz, czy nie — zapytała go.

— O, z rozkoszą zajmę się tą sprawą — odrzekł Janek.

— Aby tylko nie z za wielką — brzmia ła odpowiedź Mańki.

Wreszcie, Mańka nawet sama tym ra zem zabrała się na poszukiwanie żeru.

Mianowicie, upatrzyła sobie kilku tan cerzy zawodowych, którzy mieli posłużyć dla jej celów. Wielu z nich nie ukrywało swej specjalnej sympatji dla Mańki. Byli to w olbrzymiej większości ludzie bardzo doświadczeni w stosunku do kobiet, albowiem — dosłownie rzec można, — przez ich ręce przeszło bardzo wiele kobiet. Wyczuli jednakże oni odrazu, że Mańka nie jest poprostu damą wielkoświatową, bawiącą tu tylko dla własnej przyjemności. Węszyli, że to kobieta, któ rej nie można zaliczyć do owego stada bardziej lub mniej namiętnych panius, wyładowujących nadmiar swej energji w tańcu z gładkim zawodowym tancerzem. Dlatego zapewne ci właśnie tancerze, którzy pozostawali zimni, tańcząc z najrozmaitszemi, nieraz nawet z bardzo pięk nemi kobietami, dla Mańki wykazywali specjalne, niezwykłe zainteresowanie.

I oto Mańka zaczęła flirtować z nimi coraz otwarciej i coraz ponętniej. Sku tek nie kazał na siebie długo czekać. Stopniowo niektórzy z tancerzy ośmielali się coraz bardziej, a niektórzy z nich pozwalali sobie nawet prosić Mańkę o wyznaczenie im spotkania.

Mańka w takich razach w pierwszej chwili udawała oburzoną, ale ostatecznie zgadzała się. Na takim spotkaniu umiała zręcznie rozpalić takiego tancerza do białości, lecz zbywać go z kwitkiem, gdy zamierzał sięgać zadaleko. W końcu zaś dopiero ukazywała mu najponętniejsze perspektywy, ale tylko pod warunkiem, gdy spełni jej kaprys. Kaprys ten zaś polegał zazwyczaj na domaganiu się dowodu swego oddania i przywiązania w postaci, naprzykład, dostarczania jej rozmaitych czy to naszyjników, czy pierścionków, czy kolczyków, czegokolwiek wogóle z biżuterji, którą dostrzegła u innych kobiet.

D. c. n.

Malcolm Campblet.

Tom King.

Tłumaczył Lor. Ilustr. St. Dobrzyński.

Tom King zebrał kruszynki chleba ze stołu, pozostawione jeszcze po wczorajszym obiedzie i łapczywie konsumował niezbyt coprawda pożywną kolację.

Dwoje dzieci położyło się już wcześniej do łóżka, by w ten sposób zapomnieć o krzywdzie, jaka im się stała z powodu nieotrzymania wieczornego posiłku.

Tom King po skonsumowaniu wszystkich okruszyn usiadł na szerokim krześle, które aż zatrzeszczało pod naporem wielkiego ciężaru, obejrzał swe ubranie, podziurawione i załatane, podniósł do góry nogę z podartym butem i kiwnął smutnie głową.

Tom zewnętrznie był doskonale przystosowany do swego zawodu boksera: wysoki, niezbyt korpulentny, lecz dobrze zbudowany, niezmiernie silny i barczysty. Nos miał troszkę zdeformowany wskutek otrzymanych uderzeń, wysokie czoło, krótkie włosy i długie, żylaste, muskularne ręce.

Tom King nigdy nikomu nie uczynił nic złego. Był człowiekiem dobrym i wyrozumiałym, nie miał więc w życiu wrogów.

Oczywiście w ramach swego zawodu musiał z konieczności uchodzić za bardzo złego człowieka, — ale tego wymagało od niego życie — w przeciwnym bowiem razie umarłby z głodu.

Gdy przed dwudziestu laty, naprzykład, walczył z Gonzerem wiedział o tem że jego przeciwnik wrócił niedawno ze szpitala, gdyż miał połamane ostatnie dwa żebra, ale o oszczędzaniu go nie mogło być mowy i Tom cały czas celował właśnie w to niezagojone jeszcze miejsce, by powalić rywala. Po dwóch uderzeniach Gonzer zwalił się na ziemię — dwa ostatnie żebra były znowu roztrzaskane. Tom zyskał wówczas nagrodę i mógł żyć spokojnie przez kilka miesięcy.

Tom King męczył się już bardzo przy walkach. Żyły miał już na rękach nabrzmiałe — nogi puchły wskutek choroby nerkowej. Gdy oglądał swe żylaste ręce, przyszło mu na myśl, że cała jego przyszłość od nich zależy. Serce było już przemęczone, zbyt wiele krwi przez nie już przeszło. Osłabło.

W tej chwili przypomniał sobie znowu, że jest bardzo głodny.

— Czy nie mógłbym dostać befsztyku Lizo? — zwrócił się z uśmiechem do żony

— Byłam u Burkiego i u Sowley'a, ale nie chcieli pożyczyć... — usprawiedliwiała się Liza, chuda, wynędzniała kobieta.

— No i cóż?... Nie chcieli pożyczyć?.. Bali się?...

— W żaden sposób nie chcieli... Prosiłam ich, jak mogłam... Burkie mówił, że — i bała się dokończyć.

—Cóż on powiedział

— ...że walczysz dzisiaj z Sandlem i jesteś mu winien prócz tego dużo pieniędzy...

Tom mruknął coś do siebie i nic nie odrzekł. Dawniej Burkie pożyczał mu mięsa na tysiąc befsztyków. Ale czasy się zmieniły. Tom się zestarzał i nikt nie był pewny, czy zdoła jeszcze w swym zawodzie zarobić pieniądze, wobec czego odmawiali mu kredytu. A Tom cały dzień marzył tylko o befsztyku...

W dodatku Tom nie miał dobrego partnera do treningu. Sekretarz „Gayety-Klubu" nie zwraca już na niego wcale uwagi.., Tak, tak... Dawniej, gdy się miało 20 lat, było zupełnie inaczej...

— Która godzina, Lizo?...

— Za piętnaście ósma.

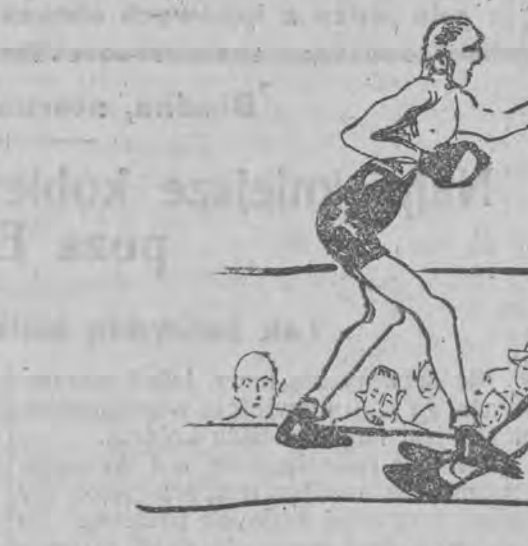
— O ósmej pierwsza runda: Wells i Gridley, potem walczą Harlight i jakiś marynarz.

Po upływie dziesięciu minut Tom wstał z krzesła i rzekł:

— Źle trenowałem dzisiaj, Lizo...

Wziął kapelusz i skierował się w stronę drzwi. Żona zarzuciła mu ręce na szyję, wobec czego musiał się nachylić, by umożliwić serdeczne pożegnanie.

— Życzę ci powodzenia — rzekła — jestem pewna, że zwyciężysz...



— Bądź spokojna... — odrzekł Tom, starając się uśmiechnąć i natężył muskuły, by pokazać siłę.

— To się opłaca... — dodał po chwili. — Nagroda wynosi 30 funtów.... Spłacimy wszystkie długi i zostanie jeszcze trochę pieniędzy... No, bądź zdrowa... Jeśli wygram, wrócę natychmiast do domu.

Do Gayety był kawał drogi: przeszło dwie mile. Dawniej, gdy był jeszcze sławnym bokserem, entuzjaści odwozili go powozem aż do cyrku. To były dawne czasy, gdy Tom miał kieszenie wypchane pieniędzmi.

Pamięta — — pamięta — — tę chwilę, gdy powalił swego przeciwnika zręcznym knock-out'em i cały cyrk ryczał rozentuzjazmowany:

— King zwyciężył!!!...

Pokonał wówczas biednego starca Stonster Bill'a. Pamięta, jak Bill płakał w garderobie... Może też miał głodne dzieci i długi w sklepikach?...

Sandel, przeciwnik Toma, odniósł już kilka zwycięstw w Nowej Zelandji. Przybył teraz do Australji i miał zamiar poraz pierwszy walczyć z Tomem. Gdyby mu się ta walka udała, postanowił wybrać większych bokserów. Sandel mógł wygrać wszystko: pieniądze, sławę i przyszłość. Tom w najlepszym razie tylko 30 funtów, których zużyłby na zapłacenie długów.

Gdy wszedł do cyrku na widowni powstał szmer:

To jest on. Tom King!

Przy wejściu sekretarz cyrku podał mu rękę i zapytał uprzejmie:

— No, co słychać, stary?...

— Doskonale... — odrzekł Tom, kłamiąc świadomie.

Gdy wyszedł z garderoby na arenę w otoczeniu dwóch sekundantów, na widowni powstał jak zwykle huragan oklasków. Tom kłaniał się na wszystkie strony, jakkolwiek nie znał nikogo z widzów. Szybko wskoczył na podjum i przelazł przez barjerę. Usiadł w kąciku na krześle i podał rękę Jack Bell'owi, który począł ją smarować jakąś maścią, przyczem rzekł:

— Pan Prondo z Nortt Sidney ofiaruje 50 funtów zwycięzcy dzisiejszego matchu.

Po chwili wskoczył na podjum Sandel i usiadł w drugim kącie.

Tom przyjrzał się swemu przeciwnikowi, który za chwilę ma zadecydować do kogo należeć będzie nagroda.

Pronto przywitał się z zapaśnikami i życzył każdemu powodzenia.

Sekundanci włożyli Tomowi rękawice. Potem nałożono mu swetr. To samo uczyniono z Sandlem.

Obydwaj przeciwnicy przystąpili do walki. Uderzenie w gong oznaczało początek zapasów. Sekundanci skryli się poza barjerą.

Sandel okazał się doskonałym bokserem. Publiczność z zaciekawieniem obserwowała każdy ruch walczących.

Pierwsza runda dała Sandlowi wiele szans do wygrania walki. King nie mógł ani razu zdobyć się na zdecydowane odpracie ataków przeciwnika.

Publiczność nie była z niego zadowolona.

— Dlaczego nie walczysz, Tomie?!

— Już nie ma sił-... — krzyczała galerja.

— Sandel wygrał...

Nastąpiła druga runda. Tom był rzeczywiście przemęczony: źle trenował i był głodny. Tom nie miał sił dłużej walczyć. Zachowywał się znowu defensywnie. Wszyscy wróżyli już zwycięstwo Sandlowi. Tylko ci, którzy znali przedtem Kinga, zachowywali się z rezerwą i nie wygłaszali żadnych horoskopów.

W trzeciej rundzie Sandel padł na ziemię. Sędzia przeliczył do dziewięciu i zapaśnik podniósł się z podłogi.

W siódmej rundzie Sandel doszedł do wniosku, że nigdy jeszcze nie odbywał tak niebezpiecznej walki.

W dziewiątej rundzie Sandel trzy razy padł na ziemię, lecz King otrzymał silne uderzenie w okolicy podbródka.

W jedenastej rundzie nastąpiła ostateczna walka. Sandel czuł się silnym, dobrze wypoczętym i posiadał doskonałą technikę.

Tom King w ostatnich chwilach czuł, że traci władzę. Zwycięstwo wymykało mu się z rąk. Nie miał sił oprzeć się atakom przeciwnika.

Dwa razy uderzył Sandla w twarz, powalił go na ziemię, lecz Sandel za każdym podnosił się i znowu stawał do walki.

Ostatnie chwile były rozpaczliwe.

W pierwszej chwili Tom mógł zadać przeciwnikowi śmiertelny cios — lecz siły odmówiły mu posłuszeństwa.

Sandel nacierał coraz intensywniej.

Tom upadł w kącie nie mógł się ruszyć.

Słyszał jeszcze ostatnie słowa sędziego i pociemniało mu w oczach.

Gdy obudził się — leżał na kanapie w garderobie z woreczkiem lodu na rozpalonej głowie.

Publiczność już dawno wyszła.

Nawet służba udała się już do domu. Zostawili go samego.

Tom King usiadł na kanapie i twarz pogrążył w dłoniach.

Zrozumiał w tej chwili, dlaczego tak strasznie płakał dwadzieścia lat temu Bill w garderobie cyrkowej.

Brutalny i cyniczny trójkąt małżeński.

Żona na prośbę męża sprzeniewierza się w jego oczach.

Potworny proces kryminalny w Berlinie.

Niezwykły obraz obyczajowości niemieckiej przesunął się przed ławą przysięgłych w Berlinie.

Oskarżoną była 30-letnia kobieta M. May, matka dwojga dzieci, oraz jej kochanek 29-letni, rosły i silnie zbudowany młodzieniec, o usiłowanie morderstwa na osobie męża Marji.

Między dwoma mężczyznami panowała jaknajwiększa przyjaźń.

Franciszek May był z zawodu mechanikiem i posiadał dobrze prosperujący warsztat mechaniczny. kochanek zaś jego żony, Hubert Halacek, zarabiał jako zegarmistrz. Mężczyźni znali się kilkanaście lat i żyli jak bracia.

Przed rokiem Hubert został usunięty z własnego mieszkania, więc zamieszkał u przyjaciela.

Nowego lokatora przyjęli państwo May sutą libacją, a po wypiciu kilku butelek wódki żonaty przyjaciel wychwalać począł swą żonę i sławić jej wdzięki.

Ponieważ Hubert odnosił się z pewnem niedowierzaniem do słów przyjaciela, zaproponował mu May wypróbowanie tej prawdy.

Propozycję przyjęła żona z niekłamanym entuzjazmem i została kochanka Huberta w oczach swego własnego męża.

I od tej chwili powstał przedziwny trójkąt, cynicznie jawny. Pani May żyła z dwoma mężczyznami. Lecz w pewnej chwili obudziło się sumienie w mężu, zrozumiał cynizm sytuacji i począł robić brutalne sceny zazdrości.

Między kochankami zawiązał się jednak serdeczny stosunek i niewierna żona nie taiła się z tem, iż woli Huberta od brutala męża.

Ponieważ zaś była kobietą bez skrupułów, postanowiła usunąć niewygodnego małżonka.

Namówiła więc pomocnika ślusarskiego, Wirbla, aby dokonał mordu.

Wirbl jest na pół idjotą, a do majstra swego, Maya, żywił oddawna niechęć za złe traktowanie.

Temu to człowiekowi wsunęła niewierna żona rewolwer do ręki, namawiając go, aby sprowokował kłótnię, a w chwili, gdy skłonny do bijatyki mąż rzuci się na niego, aby go zastrzelił.

Wirbl przyjął rewolwer, ale nie mógł się zdecydować na zbrodnię, a gdy maj strowa coraz bardziej nalegała, udał się do męża i wyznał okrutną prawdę.

Mayową skazano na 3 lata więzienia.

SPORT

Dwulicowy „obrońca sportu“
wpadł sam w zastawioną przez siebie pułapkę.
Mętne afery „Głosu Polskiego“ w zwierciadle oryginalnych dokumentów

W wychodzącym jeszcze dzienniku p. t. „Głos Polski“ od dłuższego czasu ukazują się w najbardziej ordynarnym tonie wycieczki przeciwko turniejowi walk atletycznych w Łodz. Przy okazji, rzecz zrozumiała, — krytym sztychem ataki na prasę, która z punktu widzenia sportowego daje z przebiegu walk sprawozdania, zaspakajając tym samym wymagania publiczności, masowo uczęszczającej na walki atletów.

Oto np. we wczorajszym numerze „Głosu Polskiego“ w artykuliku p. t. „Zdziczenie“ znajdujemy następujący ustęp:

„Atmosfera mętnych afer zawodowców cyrkowych i ich reklamatorskiej „prasy“ przeniknęła w czyste dotąd powietrze boisk i parków sportowych“.

Tak zacny sąd o reklamatorskiej „prasie“ jest w dziwnym stosunku do treści listu, znajdującego się w naszym posiadaniu; listu adresowanego do p. Arnolda sędziego przy walkach atletów w cyrku. List ten brzmi:

***

Łódź, d. 12 lutego 1925 r.

Szanowny Panie Profesorze!

Niniejszem donosimy szanownemu Panu Profesorowi, że chętnie będziemy zamieszczali w „Kurjerze Wieczornym“ sprawozdania z zapasów, o ile Sz. Pan Profesor zechce nam nadsyłać czysto fachowe sprawozdania, zawierające dane: walczące pary, czas trwania i chwyt, jakim walka została zakończona... O ile tedy Sz. Pan Profesor życzy sobie, abyśmy takie sprawozdania zamieszczali, proszę nam nadsyłać powyższe wzmianki możliwie do godz. 10 rano ul. Piotrkowska 86.

Mamy nadzieję, że Sz. Pan Profesor zgodzi się chętnie na naszą propozycję, tem bardziej, że **leży ona w interesie samej imprezy tak świetnie przez Sz. Pana Profesora prowadzonej.**

Z wyrazami prawdziwego szacunku
Wydawnictwo Dzienników „Głos Polski“ i „Kurjer Wieczorny“ w Łodzi.

***

Nie jest nam wiadome, czy p. Arnoldowi opłaciło się nadsyłać do wydawnictwa dzienników „Głos“ i Kurjer Wieczorny“ sprawozdania z walk w cyrku, gdyż propozycja zamieszczania sprawozdań tych w „Kurjerze“ jest **bardzo mało pociągająca ze względu na minimalny nakład zupełnie podupadłego pisma, którego nikt nie chce czytać.**

Wiadome jest natomiast z treści ogłoszonych dokumentów, że cała akcja „Głosu Polskiego“ i jego wieczornego braciszka **nie jest dyktowana dbałością o dobro sportu, ale motywy jej są bardzo przejrzystej natury.**

Prawdopodobnie chodzi tu o „reklamiarstwo“, ale o reklamiarstwo nieudane, gdy ktoś się stara o reklamy do dziennika, ale brak jest chętnych, którzy chcieliby ogłaszać się w piśmie o minimalnej poczytności i nakładzie.

—:o:—

Pierwszy „cross-country“ w Łodzi
Urządziła go sekcja lekkoatletyczna Ł. K. S.

Ruchliwa sekcja lekko-atletyczna mistrza okręgu w lekkiej-atletyce i piłce nożnej rozpoczęła swój występ oficjalny.

Zorganizowany bieg naprzełaj wykazał sprawność inicjatorów i wyniki lekkoatletów Ł. K. S. **Odruch prasy codziennej w kierunku zwalczania idei biegów ulicznych był uzasadniony.** Publiczność zgromadzona liczniej, aniżeli na niejednym meczu piłki nożnej A-klasowej drużyy wykazała pełne zrozumienie dla inicjatywy Ł. K. S., śmiało rzec można na przyszły bieg Ł. K. S. i podobne imprezy podąży jeszcze liczniej.

Trasa: Park Ł. K. S., droga leśna w stronę Mani, aleja wzdłuż szosy Konstantynowskiej, aleja Unii, a zatem 5 klm. — las — pola — warunki doskonałe dla biegacza.

Po skrupulatnem przeglądzie zawodników przez dr. Rozenberga, starter p. Szumlewski daje strzał; drużyna w liczbie 23 zawodników podąża wytyczną wyżej trasą. Na drodze do lasu widnieje statuetka Ulmana, przyszłego zwycięscy, za nim zbiorowo pracuje zespół Ł. K. S. — najliczniejsi 11 i taktycznie doskonali, typowa walka drużyny.

Publiczność z trybun po raz pierwszy bodajże w Łodzi miała możność obserwowania biegu w 4-ch fazach; pole widzenia obszerne, pogoda dobra, stąd widać zawodników aż na szosie Konstantynowskiej. Szybko zbliża się szereg do boiska Ulman nadal pierwszy. Drużyna Ł. K. S. prowadzona na zmianę przez Starostę i Gazickiego, jeszcze 1 klm.

Starosta i Gazicki dostrzegają, że Ulman indywidualnie toruje drogę do zwycięstwa. Drużyna Ł. K. S. rozciąga się i odstęp między Ulmanem zmniejsza się... Taśma kładzie kres walce. Ulman w 19 min. 7 i dwie piąte sekundy przerywa taśmę, za nim Starosta, Gazicki, Wachowicz „Ino“, Tomaszek, Gajzler, Dobrowolski; wszyscy oprócz pierwszego z Ł. K. S., Abramowicz z Hasmonei 11 i ostatni z pośród tych, którzy przybyli w przepisanym czasie (2 min. za pierwszym).

Drużyna Ł. K. S. zdobyła I miejsce 7 punktami, II — Hasmonea 1 punkt.

P. Al. Kordasz, obecny przewodniczący wydz. lekkoatletycznego Ł. K. S. wręczył żetony, a wiceprezes J. Woźniak, jeden z najgorliwszych propagatorów lekkiej atletyki w zarządzie Ł. K. S. podkreślił w przemówieniu znaczenie biegów — cross'ów, jako doskonałej zaprawy do bogatego programu letniego.

Trafny wybór trasy, sprężysta organizacja, doskonała obserwacja z trybun, pozwoliły zapewnić Ł. K. S-owi sympatje i zaufanie przy organizacji następnych imprez lekko-atletycznych. Udział 23 lekkoatletów na pierwszy raz, to nadzieja, że do przyszłego biegu stanie kilkuset na wzór zagranicy, a inne kluby łódzkie zdobędą się może też na inicjatywę.

W biegu powyższym nie brał udziału p. Rembowski z powodu odniesionej kontuzji na treningu, zajął się jednak organizacją imprezy, która powiodła się w zupełności. **J. B.**

Nowy zarząd T. W. C. w Łodzi.

W lokalu Towarzystwa Warszawskich Cyklistów w Łodzi, ul. Piotrkowska 174 odbyło się pierwsze zebranie nowowybranego zarządu towarzystwa. Przez głosowanie wybrani zostali:

Do prezydjum zarządu pp. Alfred Grohman, Bronisław Cichocki i Marjan Olszewski, kapitanem — p. Bolesław Knapski, zastępcami: pp. Aleksander Payrebrune i Otton Teske.

Sekretarzem — p. Stefan Pol, zastępca. p. Adela Tautówna,

Skarbnikiem p. Paweł Kermer, zastępca p. Antoni Kopczyński.

Walki francuskie w cyrku.

Benefis Jana Jaago.

—:o:—

Bambuła pokonał estończyka w 2 rundzie.

—:o:—

Kornatz — Pinecki remis.

—:o:—

Dziś spotkanie decydujące: Kornatz—Jaago

Program wczorajszego wieczoru zgromadził tłumy widzów żądnych emocji. Magnesem był niezawodnie boks, aczkolwiek i „Leoś“ ma swoich, bardzo licznych zwolenników.

Tu trzeba przyznać, że występujący w roli bokserów atleci obecnego turnieju niektórzy wcale walki bokserskiej nie widzieli (nieobecny Karsch) inni znowu znają tę gałęź sportu wyłącznie tylko z widzenia (Jaago, Pinecki).

Natomiast Bambuła okazał się, jak na te warunki mistrzem.

Walka bokserska trwała zaledwie nie całe dwa starcia. Murzyn w pierwszem spotkaniu badał teren, opędzając się od słabych ciosów Jaaga, jak od much aż do pierwszej pauzy.

W drugiem starciu (czyli rundzie) za jął on środek areny i nie dopuścił już swego przeciwnika na odległość ciosu, lecz ustawiwszy się, wymierzył mu straszny cios od lewicy, Jaago upadł i nie wstał w przepisywanym czasie, po mimo czułych nawoływań z widowni.

Nastąpił „hondicap“ pomiędzy

Kornatzem i Pineckim

o nagrodę 500 złotych. Zacięta walka, trwająca 50 minut bez żadnej pauzy, po mimo heroicznych obustronnych wysiłków skończyła się na remis.

Pichler i Czarna Maska

stoczyli wprawdzie krótką, lecz bardzo ładną i efektowną walkę, przyczem pierwszy, pomimo szalonej przewagi fizycznej i pod względem wagi, nie był nawet wstanie bronić się skutecznie przed błyskawicznymi atakami nieznanego zapaśnika.

Pichler uległ pięknemu przerzutowi przez głowę.

Czarną Maskę nagrodzono zupełnie zasłużenie burzą oklasków.

***

Dzisiaj walczą tylko dwie pary, tj.

Jaago — Kornatz
Czarna Maska — Bambuła

aż do rozstrzygnięcia.

Wypada przypomnieć, ażeby arbiter i „jury“ zmusili Bambułę do przepisowej walki, w przeciwnym bowiem razie syte już znęcania się Bambuły nad słabszymi przeciwnikami, gotowe ich zastąpić po krzywdzonym przez to zwierzę zapaśnikom wymierzyć sprawiedliwość. Zwiastunami tej ewentualności są codzienne pomruki niezadowolenia — a gadatliwość arbitra osiąga zupełnie odwrotny skutek. A. R



Wyścigi piesze sportowego klubu esperantystów w Medjolanie.

Prenumerata: W Łodzi zł. 3.50 miesięcznie—Zamiejscowa 5 złotych miesięcznie. — Zagranicą 7 złotych miesięcznie. — Odnoszenie do domu 30 groszy

„Express Wieczorny" i „Republika" łącznie zł. 7.50.

Ogłoszenia: ZWYCZAJNE: 8 gr. za wiersz milimetrowy (na stronie 10 szpalt.). W TEKŚCIE 40 gr. za wiersz milim. trowy (na str. 4 szpalty). NEKROLOGI i NADESŁANE: 30 gr. za wiersz milimetrowy e (na str. 4 szpa... Zaręczynowe i zaślub. po tekście 10 zł. Zamiejscowe o 50 proc. Zagran. o 100 proc. droż. Za terminowe druk ogłoszeń administr. nie odpowiada. Drobne 10 gr. Poszukiwanie pracy 5 groszy. Najmniejsze 50 gr.

Redakcja i Administracja. Piotrkowska № 49.
Telefony redakcji: 27-24, 36-43, 36-44
Telefon administracji 22-14.

Godziny przyjęć redakcji 6 —7 po poł. Rękopisów niezamówionych nie zwraca się.

Ogłoszenia kolorowe (minimalna wielkość ćwierć strony) 100 procent drożej.

Za wydawnictwo „Republika" Sp. z ogr. odp. W. Polak. Czcionkami „Republiki", Łódź, Piotrkowska 49. Tłocznia, Piotrkowska 15. Redaktor odp. Józef Burman.